

Moon EVO 740P + EVO 870A

Po kilku tygodniach przerwy od ekstremalnego Hi Endu choć nadal pozostając w kręgu wyrafinowanych urządzeń, znowu wracamy na pantalek w dziedzinie wzmacniania sygnału. Oczywiście z marszu przypominałem sobie, że mam coś takiego jak kręgosłup, niemniej jednak, jeśli do szranków z moim dyżurnym systemem staje równorzędny przeciwnik, wszelkie problemy logistyczne zdają się iść w niepamięć. To spotkanie powinno ucieszyć wszystkich, od dystrybutora (zaraz zdradzę jakiego) – którego produktom proponujemy wykwintne towarzystwo, przez nasze coraz wyższe pozycjonowanie na rynku portali zajmujących się testowaniem wynalazków generujących dźwięki, po samych czytelników. Tak tak, szczególnie czytelników, gdyż po około rocznej pracy u podstaw zdobyliśmy odpowiednią dawkę zaufania, by móc otrzymać dzieloną amplifikację od jednego z największych na naszym rynku audio gracza, jakim jest warszawski Audio Klan, który w swojej ofercie posiada kilka znamienitych marek, wywołujących ciarki na plecach wielu naszych czytelników. Łatwo nie było, ale się udało. Z kilkupozycyjnej listy propozycji na dobry początek otrzymaliśmy produkt ze stratosfery cenowej, który spokojnie może stawać w szranki z moimi Japończykami. Jak to się skończy zobaczymy, ale jedno wiem na pewno, sądząc po wielu krążących pocztą pantoflową informacjach, nie będzie łatwo zapędzić Kanadyjczyków do kąta. Panie i Panowie przedstawiam czarnego konia tegorocznych sesji testowych – kanadyjską firmę Moon, którą reprezentować będą: przedwzmacniacz 740P i końcówka mocy 870A.

Moon jest znaną na polskim rynku marką, jednak wydaje się być niedocenianą, gdyż w bardzo dużej grupie moich znajomych, tylko jeden może pochwalić się ich produktami. Wiele się o niej mówi, ba nawet chwali, ale dlaczego tak mało jest posiadaczy nie wiem. Czy boją się posłuchać, będąc już na coś zdecydowani, czy powielając oklepane w prasie wzorce chcą błysnąć w towarzystwie, nie będę dociekał, ale postaram się wyłożyć w dość prostych słowach, czy wypożyczenie na odsłuch jest warte świeczki.

Jak wspominałem, z uwagi na dość skromne grono posiadaczy Moon'a, kilkugodzinny odsłuch z tymi urządzeniami zaliczyłem tylko raz i do tego w zestawie z amerykańskimi głośnikami Thiel. Niestety całkowicie inny rodzaj słuchanej muzyki mojego znajomego, plus oszczędne podejście do akustyki nie zaowocowały przysłowiowym opadem szczęki, ale co się odwlecze to Obecny sparing odbędzie się na szczęście na moich warunkach, w dodatku przy bardzo zbliżonym szczeblu cenowym, co całkowicie wyeliminuje szukanie sztucznych usprawiedliwień, we wnioskach końcowych. A więc niech się dzieje wola nieba, zaczynamy.



Gdy wtaczałem i ustawiłem na docelowej platformie ten kawałek uźebrowanego na bokach żelastwa – końcówka mocy, od razu nabrałem do niego należytego szacunku. Wielkość zbliżona do końcówki Reimyo i podobna waga, dobitnie świadczyły już bez rozkręcania, że wewnątrz nie zobaczymy audiofilskiego powietrza, tylko monstrualnie rozbudowane zasilanie, bez litości spalające pobrane z sieci kilowaty energii elektrycznej, by dać z siebie wszystko co najlepsze. Front podzielono na trzy segmenty, gdzie środkowy jest płaski, a boczne płynnym łukiem kierują się w stronę tyłu urządzenia. W dolnej części centralnego płyta zaimplementowano mały guziczek inicjowania włączenia z umieszczoną nad nim niebieską diodą, a przy górnej krawędzi wkomponowano wygrawerowane i stosownie podpisane logo producenta. Przy dostarczonej czarnej wersji w szczotkowanym aluminium, srebrna płytka wspomnianego firmowego znaczka prezentuje się naprawdę stylowo. Górna pokrywa jest już pomalowana w technice proszkowej, ale panowie od spraw wizerunkowych, dla przełamania monotonii jej sporej powierzchni, nadmuchali znaczek frontu i umieścili go pomiędzy ryflowaniami zwiększającymi efekt chłodzenia wnętrza 870-ki. Boki to na całej głębokości radiatory, by w podobny do panelu przedniego sposób, tylko w lustrzanym odbiciu, płynnie przejść w tylną ściankę. Plecy końcówki wyposażono w podwójne terminale głośnikowe, wejścia w dwóch standardach – XLR i RCA, gniazdo IEC, włącznik sieciowy.



Przedwzmacniacz w ogólnym rysie wizerunkowym jest kopią końcówki, tylko o połowę niższą. Oczywiście z racji pełnienia innych zadań, dostał inne wyposażenie frontu i tyłu. Przd, oprócz skopiowanej małej płytki z logo, posiada centralnie umieszczony bardzo duży i czytelny, o regulowanym natężeniu, czerwony wyświetlacz. Tuz nad nim zauważymy bardzo modną w tych czasach niebieską diodę. Po obu stronach wyświetlacza zaimplementowano małe srebrne guziczki manipulatorów i z prawej flanki dużą gałkę wzmacnienia. Górna pokrywa jest powieleniem pomysłu końcówki mocy. Tylny panel dzierży trzy wejścia RCA, dwa XLR, po jednym wyjściu RCA regulowanym i nieregulowanym, jedno wyjście XLR i gniazdo sieciowe zintegrowane z włącznikiem. Oba urządzenia stoją na srebrnych mocno stępionych kolcach. Tak pobieżnie wygląda sprawa wyglądu i kompatybilności obu urządzeń z docelowymi systemami. Mamy wszystko, co potrzebne do włączenia ich w nawet najbardziej wyrafinowany tor audio.

Przyznam się szczerze, że po wspomnianym pierwszym kontakcie z marką Moon w zdecydowanie tańszej odsłonie, nie wiedziałem czego spodziewać się podczas planowanej konfrontacji. Wtedy było dobrze, ale tylko dobrze, co można było usprawiedliwiać wieloma aspektami, od całkowicie innej reszty tory, przez muzykę, by w razie potrzeby móc zwalić wszystko na akustykę. Tym razem żarty się skończyły i z sercem na ramieniu włożyłem pierwszy niezobowiązujący krążek ze spokojnym jazzem. Jednak gdy z kolumn dotarły do mnie pierwsze takt, na mojej twarzy zarysował się kształt banana, a im dalej zagłębiałem się w możliwości seta z zimnej Kanady, tym bardziej na myśl przychodziło mi jedno zdanie jakie

skieruję w stronę posiadającego tę markę kolegi – „lepiej nie przychodź do mnie, bo będziesz żałował, albo szykuj nerkę”. To był inny świat, który na pewno determinowała cena testowanego zestawu, ale sądzę również, że nawet ten tańszy zdecydowanie lepiej zagrałby w moich warunkach lokalowych, niż w „komorze echowej”. Nie, nie pomyliłem się, tam są gołe ściany. Na szczęście on o tym wie, ale musi z tym żyć, gdyż jak wiadomo, audiofil wie swoje, a jego żona swoje i drogą uniknięcia spektakularnego rozwodu, idzie na zdecydowanie za duży jak dla mnie kompromis. Ale cóż, każdy ma taką żonę, jaką sobie wybrał, dlatego wracamy do smakowicie zapowiadającego się testu.

Gdy pierwsze koty poszły za płoty, dość przypadkowo w moje ręce trafiła – oczywiście kupiłem, ale idąc za głosem serca, a nie rozsądku – kolejna wersja interpretacji muzyki dawnej z udziałem instrumentów barokowych. Wspomniana kompilacja to wydany przez oficynę ECM krążek zatytułowany „The Dowland Project”, sygnowany przez John’a Pottera (wokalisty). Podobnych pozycji na półce stoi u mnie bez liku, ale mam do tego typu produkcji słabość i co jakiś czas taki projekt wzbogaca zbiory. Ich zalety? Proszę bardzo. Muzyka nierzadko realizowana w przybytkach sakralnych, z wykorzystaniem ich walorów pogłosowych i często zagrana na setkę. To są wartości dodane, które dla kogoś takiego jak ja mają zasadniczy wpływ na decyzję zakupową. Ale wracając do testowanych urządzeń i związku przyczynowo – skutkowego aplikacji owego krążka w play – listę, skreślę kilka zdań o możliwościach przybyszy zza wielkiej wody. Może nie możliwościach, ponieważ takim stwierdzeniem obraziłbym konstruktorów, tylko o drobnych różnicach pomiędzy nimi, a Japończykami. Nie oszukujmy się, jeśli byłaby to jakakolwiek miazga lub walcowanie konkurenta, musiałbym stwierdzić, że któreś z urządzeń jest źle skonstruowane, tymczasem tutaj mamy nieco inny, jednak na podobnym poziomie jakościowym przekaz muzyczny. Biorąc jako referencję mój system, który już sam w sobie jest skierowany w stronę ciepła, nie sposób nie zauważyć, że Moon jest jeszcze trochę gęstszy. Przesuwa masę dźwięku o oczko w dół, zwiększając tym sposobem, wirtualny byt artystów w naszym domu. Ma to swoje, dla większości słuchaczy pozytywne, konsekwencje, w postaci wysycenia żerujących na podobnych zabiegach instrumentów i wokalistyce. A już barokowe granie pełne jest takich przyrządów do umilania człowiekowi życia. Kto trochę interesował się twórczością tamtych czasów, wie jaka przepaść dzieli violę di gamba od współczesnej wiolonczeli. Rodowód podobny, ale paleta wydobywających się dźwięków z protoplasty zostawia nadmuchane skrzypce naszych czasów daleko w tyle. Patrząc na sposób prezentacji spektaklu muzycznego z punktu widzenia słuchacza stwierdzam, że podczas uczy narządów słuchu bez większych przeszkód oczami wyobraźni wykreujemy głęboką i szeroką udostępnioną muzykom scenę. Co prawda jest o pół kroczku do przodu w porównaniu do wzorca, jednak idealnie buduje gradację poszczególnych źródeł emisji wibrującego powietrza zwanego muzyką. Lekkie zbliżenie słuchacza do artysty zwiększa namacalność i dając większy wolumen dobiegających informacji, pozwala zapomnieć nam o Bożym świecie. Oczywiście znajdują się tacy, którzy stwierdzą zbyt dużą ingerencję w sygnał, ale mając choć trochę wyrozumiałości, nie wywołają o to trzeciej wojny światowej, tylko jeśli znaleźliby kilka innych pozytywnych aspektów, spróbowaliby połączyć elektronikę z Kanady z innymi kolumnami, co w gruncie rzeczy nie byłoby takie trudne. Niemniej jednak, ta z wolna snująca się muzyka, pozwalała chłonąć każdą zagrana frazę z przysługującym tej muzyce pietyzmem, a solowe popisy poszczególnych instrumentalistów były wisienką na torcie całego przedsięwzięcia. Dla mnie bomba.

Gdy już nasyciłem się tą dawką intymności z barwnymi rysami instrumentów dawnych, musiałem rzucić uchem, czy ta odrobina dociążenia dobiegających do mnie dźwięków, nie wpłynęła zbyt degradująco na najwyższy zakres częstotliwościowy, który jest jednak dla mnie bardzo ważnym elementem. Lubię gęste granie, ba nawet wolę lekko przesłodzone niż postać „szkieletora”, ale ani w jednym, ani w drugim wcieleniu nie zdzierzę zbyt wielu ograniczeń w rozdzielczości – proszę nie mylić z rozjaśnieniem. Ułomność tego kawałka widma akustycznego bardzo mocno determinuje postrzeganie reszty jego składowych, co często nieosłuchani audiofile uważają za zaletę, dorabiając ideologię w

postaci większej przyjemności ze słuchania, a także pozwalając odtwarzać na swoim tak ograniczonym systemie wielu zmasakrowanych realizacyjnie srebrnych krążków. Ja dziękuję za takie kwiatki, choć nie przeczę, że na początku mej długiej przygody z audio miałem podobne usprawiedliwienie takiego faktu. Na szczęście obecny poziom wykształcenia w tej materii i dostępność przyzwoitych produktów pozwala mi na weryfikację tamtych mylnych tez. Oczywiście jak przystało na przywiązującego dużą wagę do realizacji słuchacza, w napędzie ponownie wylądował krążek ECM-u, ale z lekkim free jazzem. Panowie: Paul Motian, Bill Frisell i Joe Lovano w spotkaniu zatytułowanym „Time and Time Again” stworzyli kilkudziesięciminutową wzajemną konwersację, z wieloma popisami solowymi – cóż przecież to same tuzy muzyki jazzowej, gdzie najważniejszym aspektem podczas tego odtworzenia płyty były blachy perkusisty. Oczywiście saksofon bezpardonowo brylował swoim nasyceniem pośród gitary i perkusji, ale z dużą ulgą przyjąłem fakt tylko lekkiego majstrowania systemu podczas wybrzmiewania przeszkadzajek. Czuć było delikatne skrócenie ich słyszalności, ale w kontekście reszty pasma był to idealnie zrealizowany przez konstruktorów konsensus. Dla odzwierciedlenia symbolicznego muśnięcia owych talerzy, powiem, że to jest z mojej strony lekkie czepialstwo, które już po trzecim utworze ulatniało się niczym poranna mgła.

Po długiej serii przesłuchanych kompilacji do ostatniego testu na uwiarygodnienie Hi End-owego pozycjonowania zestawu przedwzmacniacza 740P i końcówki mocy 870A wziąłem niedawno opisywany przez nas krążek „Svantevit” z „folk metalem” grupy Percival Schutzenbach. To energetyczne łożenie uzupełnione ludowymi przyśpiewkami, pozwalało na weryfikację radzenia sobie Kanadyjczyków z często zmieniającym się tempem granych fraz. Szybkie przechodzenie z wokalizy damskiej do sekwencyjnie generowanych kilkuuderzeniowych akcentów stopy perkusisty, wespół z ostrymi riffami gitar, nawet przez moment nie zachwiały czytelności dobiegającej ściany decybeli. Oczywiście szanując swój biedny narząd słuchu – okres buntu mam już dawni za sobą, głośne próby ograniczane były do rozsądnych długości, ale na tyle reprezentatywnych, że śmiało mogę podpisać się obiema rękami pod wysnutymi wnioskami. Gdy recenzowałem tę płytę – nawet dość wnikliwie oceniłem niedwuznaczność jej drugiego tracka, wzbudzając tym zainteresowanie czytelników, nie sądziłem, że tak szybko do niej wrócę, ale wiecznie puszczone Depeche Mode, może znudzić się nawet tak zagorzałemu kiedyś fanowi jak ja. Dodatkowym aspektem był fakt używania instrumentów fizycznych przez rock-menów, a nie klawiszy syntezatorów. Niemniej jednak, praca zestawu Moon’a u podstaw osadzenia dźwięku, raczej pomogła w wypełnieniu tego wydawałby się ciężkiego przekazu, bez tendencji do uśredniania wsadu. W takim repertuarze to bardzo duża zaleta, a brak odczucia jakiegokolwiek zadyszki tylko podnosi ocenę końcową konstrukcji.

Te kilkanaście dni z kompletem wzmacniającej firmy Moon, było bardzo przyjemnie spędzonym czasem, który pozwolił, a nawet trochę zmusił do ponownego skierowania swych kroków w stronę półki z ciężkim graniem. Muszę przyznać, że już po pierwszych, kontrolnych taktach jakie wydał z siebie testowany set, czułem w kościach mój bardzo pozytywny odbiór tych konstrukcji. Ta odrobina masy jaką ma w genach, nie inwigilowała zbyt mocno wsadu muzycznego, a opisany sznyt raczej pomagał w jego chłonięciu, skutkując przesłuchaniem metalowej płyty od deski do deski, albo jeśli ktoś woli od pierwszego do ostatniego bitu. Docelowy klient? Praktycznie każdy, kto kocha barwę lub oscyluje na granicy neutralności ze wskazaniem na ciężar dźwięku. Wielbiciele żyletek w przestrzeni pomiędzy linią głośników, a słuchaczem, raczej się nie pożywią, ale rozsądni na pewno nie będą negować potencjału propozycji warszawskiego Audio Klan-u. Puentując to spotkanie jestem stanie postawić tezę, że trochę wody w Wiśle upłynie, zanim zawita do nas równie dobrze grający zestaw pre-power.

Jacek Pazio

System wykorzystywany w teście, to kompletny zestaw firmy Combak Corporation
Elektronika Reimyo:

- dzielony odtwarzacz Cd: CDT – 777 + DAP – 999 EX
- przedwzmacniacz lampowy: CAT – 777 MK II
- tranzystorowa końcówka mocy: KAP – 777

Kolumny: Bravo Consequence+

Kable zasilające: Harmonix X-DC 350M2R Improved Version

Kable głośnikowe: Harmonix HS 101-EXQ (sekcja średnio-wysokotonowa), Harmonix HS 101-SLC (sek

cja niskotonowa)

IC RCA: Harmonix HS 101-GP

IC cyfrowy: Harmonix HS 102

Stolik: Rogoz Audio

Akcesoria:

- antywibracyjne: stopy pod końcówkę mocy Harmonix TU 505EX, platforma antywibracyjna Acoustic Revive RST-38H
- zasilające: Harmonix AC Enacom Improved for 100-240V
- akustyczne: Harmonix Room Tuning Mini Disk RFA-80i

Tor analogowy:

- gramofon:

napęd: Dr. Feickert Analogue „Twin”

ramię: SME V

wkładka: Dynavector XX-2 MKII

- przedwzmacniacz gramofonowy RCM „THERIAA”